

Michał Mirecki

część IV z IX

Sygnatura notacji: **N0066**

Data urodzenia: **11.02.1962 r.**

Data nagrania: **25.03.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Borzęcin Duży, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 47 min, część III: 47 min, część IV: 53 min, część V: 56 min, część VI: 49 min, część VII: 48 min, część VIII: 42 min, część IX: 34 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Michał Mirecki: Dojechałem do Paryża, w końcu z tej Holandii i Belgii dojechaliśmy do Paryża, w Paryżu przyjął nas Szymon, z lotniska odebrał mnie, bo na lotnisku akurat jechał samochód ostatni, autostopowy, który mnie podwoził na lotnisko Orly, ale podjechałem tam samochodem i stamtąd mnie też odebrał Szymon, Pociągami podjechaliśmy do Paryża i w Paryżu zakwaterowaliśmy się u niego. Szymon też był w kiepskiej sytuacji finansowej, generalnie my mieliśmy mieszkanko i nic do jedzenia. Ale Szymek czasami coś tam przyniósł, ja próbowałem grać w Paryżu, ale nic nie zarabiał się w Paryżu. Bardzo ciężko. Siedziałem z tą gitarą, ale tam pół żadnego franka nie wpadło nawet. Tak że miałem dość trudny okres w Paryżu, ale z kolei wiedziałem, że nie muszę cały czas siedzieć w Paryżu bez pieniędzy, bo mogę się wybrać do mojego kolegi w okolicach Lyonu, który mieszkał w Wansi, Roman Zgorzałek, który tam mieszkał. On wyjechał na początku stanu wojennego, wyemigrował. Notabene pojechał tam z orkiestrą ludową, do której się zapisał jako skrzypek, a był skrzypkiem, ale muzyki klasycznej. Do tej pory gra na skrzypcach w orkiestrze w Lyonie. Ale wyjechał tam, zapisawszy się do zespołu ludowego, i dzięki temu udało mu się w pierwszych miesiącach stanu wojennego opuścić Polskę. Tak że ja się wybierałem, do tego Lyonu, mając świadomość, że tam będę miał opiekę i będę miał co jeść w tym Lyonie, ale musiałem wszystkie sprawy wstępnie załatwić w Paryżu. No i też tam doszło do... Aha, tam się spotykałem z Tomaszem Łabędziem, czy Łabędziem, i tu właśnie nie pamiętam, czy on się nazywał Łabędź, czy Łabędź. – Do końca nie wiem właściwie. – Łabędź. Łabędź, tak? No właśnie. Ale to ma pan na podstawie tych zapisków – Tak. – czy jakichś innych dokumentów? Bo zdaje się, że Łabędź był też rozpracowany tam ostro, chociażby dlatego, że bezpieka... Bo teraz tak, mówimy o roku 1984, a ja tylko mogę powiedzieć, że w 1986 roku, jak byłem rozpytywany przez bezpiekę podczas porwania, to bezpieka doskonale znała mój każdy krok we Francji po prostu. I nie wiem, od kogo. Tu mam ten ból, że nie wiem, od kogo to wiedziała. Mogę tylko przypuszczać,

ale przypuszczenia w takich sytuacjach są pozbawione sensu, bo nie ma na to żadnej pewności. Tak że bezpieka znała mój każdy krok, wiedziała, co tam robiłem, wiedziała o tym, że wybieram się tam, i dostałem nawet... jak się okazuje, mój wniosek o paszport został na początku rozpatrzony negatywnie, a następnie mój późniejszy porywacz i oprawca, powiedzmy, pułkownik Janusz Krzyżanowski, osobiście, zdaje się, w papierach zdecydował, że ja ten paszport mam dostać, bo po prostu ja tam mam jechać. Bo ja tam mam załatwić te sprawy, które ja załatwiam. Tak że tutaj bezpieka już bardzo nas kontrolowała. No ale to dlaczego? Bo tego samego departamentu, jak dzisiaj wiemy, tego samego departamentu oficerem, co i ten Krzyżanowski, o którym teraz mówię, ten porywacz, jak i ten, co mi udzielił zgody na wyjazd, na uzyskanie paszportu... Bo za innym razem, jak wnioskowałem o paszport, to już paszportu nie dostałem, tylko ten jeden raz dostałem paszport. Było to za wiedzą i zgodą MSW, Wydziału VI w Departamencie II, i podejrzewam, że oni sobie na to pozwolili z tego powodu, ponieważ dobrze wiedzieli, że będą mnie tam kontrolować i mogą dzięki temu najwyżej rozpoznać, co tam jeszcze my mamy z tej Francji. W ten sposób naprawdę trafiliśmy dopiero w ręce tematu kontrwywiadu. Bo departamentem... tutaj zrobię małą dygresję, że, jak panowie wiecie, Pękalski Marian, tu używajmy już jego rzeczywistego nazwiska, Pękalski Marian został zalegalizowany jako Kotarski Marian właśnie przez Wydział VI Departamentu II już w 1982 roku został skierowany, czyli można powiedzieć, że wydział Kontrwywiadu MSW, cywilnego, czyli właśnie Wydział VI Departamentu II, był odpowiedzialny za działalność konspiracyjną w grupach, zanim grupy zaczęły się interesować... długo przed tym, zanim grupy zaczęły się interesować kontaktami zagranicznymi. Czyli krótko mówiąc, w 1982 roku, kiedy Kotarski z tegoż departamentu kontrwywiadu został przydzielony i wpakowany do grup, to grupy nie miały żadnych kontaktów, przynajmniej ja o tym nic nie wiem, żebym miał jakiegokolwiek kontakty, związki z zagranicą, żadnych. Dopiero one się w trakcie tej pracy Kotarskiego pojawiły. Nie powiem, że wykreowały, bo to nie tak było, że mój wyjazd do Paryża był wykreowany przez Kotarskiego, wręcz przeciwnie, on był temu przeciwny, ja pamiętam, że był przeciwny temu radiu, mówił: „A, wpakujemy się w to radio, to nie będzie... nie róbmy tego radia, bo”... Generalnie próbował nas od tego odwieść, ale z Teosiem mówiliśmy sobie, robimy. No i bardziej z Teosiem byłem, tak jak mówię, z tym radiem, związany. No ale Tadeo oczywiście, jak to radio powstało, to je zobaczył, potem, jak już je zobaczył, to jadąc ze Zbyszkiem Saratą na próbę, pojechał za mną, a nie mogłem powiedzieć, nie potrafiłem powiedzieć: „Zostań tutaj, nie idź za mną”, tylko pojechał za mną do Saraty, ja go wprowadziłem do Saraty do mieszkania. Tak że krótko mówiąc, tak to było, że on długo się czał, żeby coś poznać. Jak coś przed nim blokowaliśmy, jakąś wiedzę, on sobie jakoś potrafił do niej dotrzeć niestety. – Ale w tym Paryżu udało się to... – W Paryżu się udało. Udało się tak, że jak pojechałem w końcu do Lyonu, tak jak mówiłem, nie dało się zarobić, grając na gitarze w Paryżu... Tu muszę wspomnieć jeszcze, że była jedna niezła draka, bo ja w pewnym momencie poszedłem do księdza też, proboszcza w parafii polskiej, i zapytałem się, czy... To już była desperacja, bo nie miałem po prostu kasy, czy nie mógłbym zaśpiewać na mszy i czy ksiądz mógłby... czy może tutaj ściepę jakąś na mnie... Ja, że przyszedłem z gitarą i że naprawdę Kaczmarek dobrze wykonywałem, bo już teraz to gorzej, ale zaśpiewałem tam parę piosenek, szczególnie modlitwę, i rzeczywiście wystąpiłem na mszy, i rzeczywiście ksiądz mi podarował tam kilkaset franków. Natomiast on mnie pytał, dlaczego ja tu w ogóle jestem i co ja zamierzam, ten ksiądz mnie pytał. Ja mówię, proszę księdza, ja tu jestem z taką pewną misją, o której nie bardzo chciałbym księdzu opowiadać, nie bardzo mogę, tak że no, tak że no tak księdzu mówię, żeby się nie pytał za bardzo, no ale przyjechałem, niedługo wyjeżdżam, mam tutaj sprawy do załatwienia. No i chyba to coś takiego musiałem pisać, że mam kontakty z biurem. Przy czym ksiądz nie znał mojego prawdziwego nazwiska, najlepsze. Znał mnie jako Piotr Jagodziński, tak się mu przedstawiłem. Natomiast w jakiś sposób mu wspominałem

o tym, że jestem tutaj wysłannikiem z Polski, no i ksiądz przekroczył w pewien sposób swoje udzielone mu zaufanie, bo poszedł prosto do Mirosława Chojeckiego, który tam był wtedy, w Paryżu, którego ja nigdy nie spotkałem osobiście, notabene wiem, że on teraz jest chory, i chciałbym go kiedyś zapytać, spotkać go i zapytać, czy on pamięta taką historię. Bo ksiądz do niego poszedł i się pyta, coś tam, no tak sobie wyobrażam, „Panie Mirosławie, albo Mirku, czy macie tu jakiegoś emisariusza z Polski?”, a ten mówi: „Nie, nikt nie przyjechał taki”. No bo on mnie nie znał. No bo jakby akurat Chojecki nic o tym nie wiedział, o tym moim przyjeździe. No i potem, jak wpadłem do księdza, to ksiądz mówi: „O, proszę pana, ja tu rozmawiałem i pan nie ma tu żadnych”... Po co ksiądz tę wodę dał, kurczę, nie chcę... Fatalnie, nie wolno było tego nikomu mówić. Tak że, nie wiem, dopóki Mirosław Chojecki po tym świecie chodzi, może go jeszcze.... Nie wiem, czy pamięta. Musiałby to dziwnie pamiętać, że pamięta, czy ksiądz... nawet nie pamiętam, jak się ksiądz nazywał, ale można by to odtworzyć. No w każdym razie było to dla mnie takie dość ciężkie przeżycie, tym bardziej, że, słuchajcie, jak się nie ma pieniędzy, jest się w obcym mieście i koledzy twoi też nie mają pieniędzy, to się jest po prostu na najgorszej półce z najniższych półek po prostu. I człowiek jest głodny, no. Tak że to nie były żarty i dlatego próbowałem się jakoś zabezpieczyć. Wiadomo, że z Polski nikt mi tych pieniędzy nie mógł dać, bo myśmy nie dysponowali pieniędzmi na delegacje zagraniczne. Natomiast tam jechałem w oparciu o pewne miejsca, ale nie wszędzie te miejsca... Przecież też nikt nie dawał mi pieniędzy z tych ludzi, którzy mnie tam przyjmowali. Tym bardziej Szymon też nie miał tej kasy. A Szymon pracował wtedy dla „Edition spotkania” i mój pobyt w Paryżu był ostatnim, kiedy widziałem Szymona, bo... tutaj znowu będzie mała dygresja od całości, mianowicie, bo Szymon w 1998 roku zginął w wypadku samochodowym we Francji. Byłem na mszy żałobnej, gdzie był pochowany we Francji, ale była msza żałobna przez ciotkę zorganizowana w Warszawie, w kościele na Nowym Mieście, na rynku Nowego Miasta, w tym kościółku, a potem, wiele lat później, dowiedziałem się, że śmierć Szymona to jest fake i że on żyje. I to dowiedziałem się od Wojtka Sawickiego z IPN-u. Ale potem w to nie uwierzy... Znaczący szukałem tego, pogłoski takie były w Internecie, że Szymon się ukrywał przed Polską w ogóle. Ale ja do dzisiaj nie umiem na to odpowiedzieć, czy to jest prawda. Znaczący jest to dość prosta sprawa, sprawdzić, czy ktoś żyje czy nie żyje, i ja bym liczył, żeby ktoś na przykład to do końca zrobił, bo oskarżenia wobec ciotki Pochwalskiej są bardzo poważne, że współpracowała z milicją w trakcie zabójstwa... znaczący przy mataczeniu z ciałem Barchańskiego, tak że są poważne zarzuty, i że umożliwiła w ten sposób wyjazd Szymkowi do Francji, natomiast ja na ten temat nie mam zdania. Nigdy nie miałem powodu, żeby nie ufać Szymonowi. Chodziłem z nim po Tatrach, po górach. W Paryżu bardzo bym... Mam jego zdjęcie gdzieś tutaj. Też muszę zapisać, żeby wam przekazać zdjęcie Szymona. Bo już nikt go już nie zna w ogóle, nie pamięta. Ciężko go znaleźć w internecie w ogóle. Szymon Pochwalski. Zdjęcie. I to jest taka zagadkowa sprawa. Ja bym liczył, że ona zostanie wyjaśniona. Zresztą Sawickiego proszę, żeby to jakoś więcej, lepiej sprawdził. Ostatnio się mniej mówi o tej ciotce Pochwalskiej złych rzeczy. Wiadomo, że była tam na jakiejś liście TW, wyjeżdżała na Kubę za młodu. Ciężko powiedzieć. Dla mnie jest to bardzo ważna odpowiedź w moim życiu, na ile ona była zaangażowana w tę pomoc, bo była też bardzo zaangażowana w pomaganie Solidarności i potem przez lata się ze mną też kontaktowała, tak jak mówię, tutaj, już nie wiem, czy wam dzisiaj to opowiadałem, w tym domu, właśnie była kiedyś na imprezie i Wojtek Sawicki... przedstawiałem mu ją i on mówi: „To jest ta Pochwalska?” – „No tak”. I właśnie od tamtej pory zasiał we mnie ogromną niepewność w tej sprawie.

Artur Kłus: Czyli tak, jedzie pan do Lyonu, tak?

Tak. I wtedy byłem w Lyonie, posiedziałem tam, tam było wesele mojego kolegi, tam było fajnie, fajnie, fajnie, i wróciłem do Paryża po te części BGY32, które zostały przygotowane, aczkolwiek dostałem taką część chyba tylko jedną, a pozostałe miały dojść do mnie metodą jakąś. Nie wiedziałem, jaką dojdą. Powiedzieli, dobra, ktoś przywiezie te części. No i rzeczywiście była super zakonspirowana, bo pozostałe BGY32 oraz kilka BGY36, które nie były przydatne nam do niczego, bo były na jakiejś częstotliwości, która nas nie interesowała. Ale pozostałe kilka elementów BGY32 i kilka elementów BGY36 przyjechało do mnie w transporcie książek z firmy „Edition Spotkania” w roku 1984, w listopadzie. Po pierwsze takiej paczki, ja nie wiedziałem, że w ogóle można dostać w tamtym czasie było paczkę z książkami z zagranicy. Kurierska firma jakaś przywiozła to. Ja pamiętam, otwieram drzwi u moich rodziców w domu, przychodzi facet, tak jak teraz przychodzi kurier, to nie była częsta rzecz, wtedy na ogół poczta przywoziła paczki. Przyjechał kurier z ciężką paczką, coś mu podpisać. No podpisałem mu, patrzę, książki. W 1984 roku, książki z Paryża, wszystkie bezdebitowe, a na dnie tej paczki elementy BGY32. A już pojechał ten kurier, nie wiedziałem, bo cholera wie, co to był za kurier. Generalnie podpis wziął ode mnie, czyli to była jakaś przesyłka, mam wrażenie, oficjalna. Nie to, że przyjeżdżał ktoś, „mam dla pana książki” i ten... Tylko nie, to była jakaś przesyłka taka. I zdaje się, że nie była... Znaczący nie mogła być przeglądana, bo gdyby była przeglądana, to to wzbudziłoby zainteresowanie. Wszystkie bezdebitowe książki plus jeszcze elementy elektroniczne. Dziwnie wyglądające, już nawet jak ktoś nie znał symbolu, to dziwnie to wyglądało, na jakąś ostrą... Wyglądało to jak nic w tamtych czasach, bo wtedy nawet komputerów jeszcze takich nie było, takich kości nie było. To był duży element. Niestety ostatnie takie miałem, to gdzieś skradziono mi ze skrzynką narzędziową, tu w Borzęcinie kiedyś. – W każdym razie...

Artur Kłus: Wrócił pan do Polski...

Michał Mirecki: Wróciłem do Polski, przywiozłem jeden BGY32 gdzieś rzucony w skarpetki w plecaku i Zbyszek Sarata rozpoczął produkcję nadajnika, która mu długo bardzo szła, bo rok ją robił, przynajmniej rok produkował ten nadajnik, a nawet trochę więcej. Nie miał czasu, urodziło mu się w pewnym momencie dziecko. Tak że to takie były rzeczy. Myśmy oczywiście robili dalej te działalności z gadatkami, z wyrzutnikami to już chyba mniej, bo generalnie gadatki, ale różne akcje się robiło. Były też spotkania towarzyskie, dużą częścią tego wszystkiego były spotkania towarzyskie. I tutaj się spotykaliśmy. W każdym razie z Grzelakiem to jest tak, że bardzo go cenię za jego postawę w trakcie stanu wojennego, był rzeczywiście do rany przyłóż. Myśmy mieli wtedy opiekę uniwersytetu, mogę powiedzieć, jako studenci, uniwersytet przy każdym przypadku aresztowania jakiejś osoby czy jakichkolwiek problemów z prawem stanu wojennego, uniwersytet zawsze się o swoich ludzi upominał. Tak samo w tej mojej sprawie, w sprawie mojego porwania, były kontakty z panem rektorem Murzynowiczem, zdaje się, czy Murzynowskim. I Grzelak też tam był jakoś zaangażowany. Grzelak był, tak jak powiedziałem, zaangażowany w pomoc prawną, której mi udzielił w momencie, kiedy ja w lutym czy marcu, na przełomie lutego i marca 1982 roku, oświadczyłem, że nie jestem i nie będę współpracownikiem SB, co on mi pomógł sformułować to pismo, i tego pisma niestety... mamy je w pamięci, ja wprawdzie mam dokumentację, zapytałem Grzelaka o sprawę, czy pamięta, on oczywiście ją pamięta, i mam tego maila, będę mógł to dostarczyć. Natomiast rzecz nieprzyjemna, o czym muszę powiedzieć, to drugą taką osobą, która miała ogromne zaufanie wśród nas na Wydziale Psychologii, była prodziekan do spraw studenckich, czy do spraw naukowych, ale w każdym razie prodziekan tego wydziału, Barbara Malak. Barbara Malak była osobą, która była internowana, 13 grudnia została internowana, siedziała w Gołdapi, w obozie internowania, po powrocie z Gołdapi

ja miałem z nią dość bliskie kontakty pozastudenckie, bo przy okazji byłem tam w pewnym momencie jej studentem też w dziedzinie psychologii społecznej, ale miałem też kontakty związane z opozycją, bywałem u niej w domu, też śpiewałem u niej piosenki jakieś Kaczmarzkiego. Generalnie z Basią współpracowałem no i teraz, z Basią miałem bardzo nieprzyjemne wydarzenie, które zaraz po porwaniu moim, kiedy się pojawiłem na studiach, ja wszystko od razu oczywiście powiedziałem, drugi raz miałem okazję mówić o tym moim kolegom studentom, że miałem do czynienia z bezpieczeństwem i że byłem namawiany do współpracy i tej współpracy nie podjąłem, ale Basia Malak wtedy, pamiętam, bardzo mnie publicznie oskarżyła o jakieś bliżej niezdefiniowane przez nią szkody, które rzekomo popełniłem, no i teraz, powiem szczerze, że wtedy, kiedy ona tak wystąpiła, jedyna osoba, która wystąpiła wtedy przeciwko mnie, no niestety miałem podejrzenia, że ona tego nie robi z własnej woli. Wtedy miałem podejrzenia takie. I od tamtej pory podejrzewałem ją, że to była nagonka, którą jej zlecono wtedy na mnie, no i niestety ze trzy lata temu dowiedziałem się od jednego z pracowników IPN-u, któremu o tym opowiadałem i który sprawdził dokumentację zachowaną, no dostałem informację, że Basia Malak wtedy, kiedy jeszcze miała nazwisko panieńskie Łuczak, czyli Barbara Teresa Łuczak, bo tak się nazywała wtedy, została zarejestrowana jako Teresa Łuczak, jako tajny współpracownik w roku 1969 albo 1970, po wydarzeniach marcowych, w środowisku... Ona była bliską też znajomą... i jest, bo obecnie się nazywa Malak-Minkiewicz, jest znajomą Michnika Adama, do którego w moim środowisku, do Adama Michnika, od dawna już nie ma zaufania, jak i do całego środowiska tego właśnie Michnikowskiego, nie mamy zaufania, ponieważ uważamy, że oni się opowiedzieli w sposób niemoralny z naszego punktu widzenia, podziemnego, za pewnymi konszachciami z władzą komunistyczną, i wiadomo, doprowadziło to do pewnego konkretnego przebiegu zmiany ustroju w Polsce, kontrolowanego przez środowiska Michnika. Generalnie mogę na podstawie posiadanej przeze mnie wiedzy powiedzieć, że Barbara Malak jako Teresa Łuczak, bo takie nazwisko nosiła, użyto w tej agitacji jej drugiego imienia, tak że była ciężka do wyłapania jako Barbara Malak, ale okazało się, że właśnie Barbara Teresa Łuczak, po pierwszym mężu Malak, była tajnym współpracownikiem od roku 1969 czy 1970, już nie pamiętam dokładnie. No. I teraz na ile współpracowała w stanie wojennym, nie wiem, ale mogę powiedzieć, że jej atak na moją osobę, publiczny, znaczy nie był taki bardzo publiczny, gdzieś tam na korytarzu na uczelni, ale w jakimś środowisku, był dla mnie niezrozumiały. Nawet zastanawiam się, skąd ona w ogóle ma jakąkolwiek wiedzę na temat tego, no ale miała wiedzę przekazaną od, podejrzewam, Służby Bezpieczeństwa, i to mogę śmiało, odpowiedzialnie powiedzieć przed kamerą. ...powiedzieć w ogóle o kontaktach między grupami, tych takich wewnętrznych? No więc grup było kilka i tutaj nie będę ich teraz wymieniał, bo tutaj są pewne rozbieżności, też na przykład grupa Gocławska Piotra Rzewuskiego jest w niektórych kręgach... Właśnie grupa Gocławska, zresztą należałoby to rozwikłać tak naprawdę, ale ja rozumiem, że to może tak być, że ludzie mieszkający na Gocławiu uważają się za grupę Gocłowską, prawda. Czy Grochowską. Na Grochowie. Uważają się za grupę Grochowską i nie wiadomo, kto w tej grupie tak naprawdę był. Na pewno był Piotr Rzewuski, natomiast dla mnie nie jest jasne ulokowanie Jacka Józwy w tamtym czasie, bo właśnie on się w niektórych zeznaniach przedstawia jako szef tej grupy. Ja bym powiedział, że ja o grupie Jacka Józwy nic nie wiedziałem, natomiast wiedziałem o kilku grupach, z którymi się spotykałem na odprawach szefów grup. To w ogóle... Powiedzmy, odprawy szefów grup to jest taka jednostka, którą należy wprowadzić w nazewnictwie tej działalności, to znaczy w roku 1983-1984 i być może jeszcze w 1985 uczestniczyłem w comiesięcznych spotkaniach, one nie były co miesiąc tak naprawdę, ale generalnie była idea comiesięcznych spotkań szefów grup, gdzie spotykałem Wojtkę Nachiło, gdzie spotykałem Jakuba Leję i też na początku Wiktora Świercza, zdaje się, że przed Wojtkiem bywał też tam Świercz, albo... No tak, raczej przed Wojtkiem Nachiło bywał tam Świercz. Bywał też tam drukarz

Tomek Przybyszewski i jeszcze tam ktoś był, ale ja już tych... Aha, i jeszcze był Izgaszew też, „Gruby Piotr”, którego też pamiętam z tamtych czasów, bo on był dość charakterystyczny, był taki masywnej budowy, z brodą. Mało się... Zresztą myśmy się w ogóle tam nie wymieniali informacjami na temat siebie. Ja nie znałem kontaktów do żadnego z tych chłopaków, mam na myśli Wojtka Nachiło, nie miałem kontaktu do niego bezpośredniego. Ani do Jakuba Lej nie miałem bezpośredniego kontaktu, ale spotykaliśmy się w mieszkaniu na ulicy... ja to nawet wczoraj sprawdziłem, w mieszkaniu na ulicy Wolskiej 117A. To jest budynek mieszkalny na rogu ulicy Ordona i Wolskiej, Wolska 117A, na trzecim piętrze w tym budynku, klatka po prawej stronie, było wejście, gdzie właśnie było mieszkanie wykorzystywane tylko i wyłącznie do celów kontaktów szefów poszczególnych grup z Teosiem, a niekiedy z Teosiem i Tadeuszem, często z Teosiem i Tadeuszem. Było też jakieś spotkanie, na którym nie było Teosia, był tylko Tadeusz, ale Tadeusz miał w tamtym czasie... no niechętnie był przez nas traktowany jako osoba, która się powinna spotykać, bo było wobec niego wiele podejrzeń, aczkolwiek nikomu nie przychodziło do głowy, że on może być oficerem bezpieczeństwa, tylko co najwyżej mogliśmy mieć obawy, że on na przykład... No nie wiadomo, że może być niebezpieczny. Tak że spotkania na ulicy Wolskiej 117A, w takim mieszkaniu trzypokojowym starszego małżeństwa, odbywały się w latach 1983, 1984, 1985 i na tych spotkaniach były uzgadniane, a właściwie przedstawiane szefom grup, projekty poszczególnych akcji dotyczących ulotkowania albo gadałek, bo w zasadzie to były dwa główne nurty działalności grup, ulotkowanie i gadałki. I na tych odprawach wymienialiśmy się możliwościami, prawda... Generalnie do najtrudniejszych akcji zawsze byli wysyłani „Bojowcy”, czyli grupa Waldeczków, no a inne grupy były przeznaczane do tożsamego w czasie ulotkowania i ewentualnie napisów na murach. Tak że to były takie spotkania, które łączyły... Znaczący ja z widzenia pamiętam Wojtka Nachiło, Jakuba Leję, Tomka Przybyszewskiego i Piotra Izgaszewę z tych spotkań. I tam ktoś jeszcze bywał, ale ja już nie pamiętam, kto, niestety. Nie znałem nazwisk, że tam ktoś się pojawiał, ale to było generalnie spotkanie kilku osób, siadaliśmy w kręgu na krzesłach i rozmawialiśmy o tym, co nas czeka. I tam też nie było żadnej wpadki, nie było tam żadnych takich sytuacji. Tak że to jest to. I myślę sobie, że to był ten element integrujący... znaczy: integrujący, pokazujący szefom grup, że są jeszcze inni szefowie grup i że te grupy są jakoś tam rozbudowane, ale na ogół tam były przekazywane konkretne dyspozycje dotyczące zbliżających się akcji, które były podejmowane. I tam wszyscy wchodziliśmy oddzielnie, wychodziliśmy oddzielnie do tego mieszkania. Generalnie traktuję to jako bardzo istotne spotkania w organizacji pracy grup oporu. I to jest to. Natomiast z drugiej strony istniało jeszcze środowisko kilku kolegów Teosia Pincewicza, w którym ja też w tym środowisku bywałem często, i to środowisko się spotykało u Olgierda Smoleńskiego w mieszkaniu na ulicy Podbiłęty w domu, w domku jednorodzinnym na ulicy Podbiłęty na Służewcu. Tak że to była willa, w której można było się swobodnie czuć, bo nie było sąsiadów, którzy mogliby podsłuchiwać nasze rozmowy bezpośrednie zza ściany. Te spotkania tam się odbywały z udziałem często Grzegorza Jaczyńskiego, bywał tam też brat Teosia, starszy brat Teosia, Walduś Pincewicz, „Inżynier” pseudonim, czyli Olgierd Smoleński, bywał też tam często Tadeusz. I tam prowadziliśmy często działalność, że tak powiem, rozrywkową, to znaczy imprezową, no ale oczywiście zawsze przewalały się jakieś elementy albo, satysfakcji z wykonania jakiejś akcji, albo coś tam się przygotowywało. Zresztą Olgierd był z kolei osobą, która dostarczała kasety do gadałek, bo do radia to nie zdążyliśmy. No radio to dopiero... Za chwilę powiem o... O radiu to powiem w kontekście mojego porwania, bo to się wszystko bardzo z tym wiąże, ale tam właśnie ja odbierałem od Olgierda gotowe kasety, zresztą notabene Olgierd te wszystkie kasety zachował i dopiero w tym roku, czy w zeszłym roku, pod koniec roku, dzwonił do mnie Piotr Rzewuski, pytał się, czy ja nie mam kogoś, kto by miał audycję Radia Solidarność. Ja mówię, no mam, mam Olgierda Smoleńskiego, który te wszystkie audycje ma po prostu. I wiem, że on te kasety prze-

kazał prawdopodobnie Rzewuskiemu niedawno i tych kaset trzeba szukać u Rzewuskiego, a Rzewuski niestety zmarł nam w styczniu tego roku, czyli trzy miesiące temu, niecałe. No to muszę zapytać Olgierda, czy te kasety do niego wróciły, bo to jest moim zdaniem bardzo ważna dokumentacja, która się powinna znaleźć w zasobach IPN-u, bo jest to cały duży zestaw kaset, oryginalnych kaset, które były... znaczy no nie używane, używane w gadałkach, to poszły na stracenie, ale to były kopie tych nagrań, do gadałek. Tak że tutaj trzeba zapytać Olgierda Smoleńskiego o dalszy los tych kaset i czy one są jeszcze w posiadaniu rodziny Piotra Rzewuskiego, nie wiem tego. Czyli tak, mówię o tych dwóch takich środowiskach, w których się spotykałem. Jedno to było środowisko szefów grup, gdzie w odprawach uczestniczyłem, a drugie to było środowisko wokół mieszkania na Podbipięty u Olgierda Smoleńskiego, gdzie spotykaliśmy się towarzysko, ale te spotkania towarzyskie to też się odbywały u mnie, na Górczewskiej, względnie u Teosia, na ulicy... Szegedyńskiej? Przy Agorze gdzieś tam, Szegedyńska to była chyba ulica. Teoś tam miał mieszkanie na siódmym piętrze. Tak że takie były też kręgi naszych spotkań. Tak sobie myślę, czy jeszcze były takie inne miejsca spotkań. Nie bardzo, to chyba o wszystkich powiedziałem. Chociaż dużą część spotkań odbywaliśmy też w kawiarniach. Tak że tutaj nie było jakichś... Były jeszcze oczywiście jakieś skrzynki ważne, lokale. To była taka babcia przy Rondzie Starzyńskiego, słynna też, bo wiem, że w różnych innych relacjach ona się pojawia. Nie pamiętam jak się nazywała, miała pięknego, starego boksera, psa, i ta sama była też bardzo stara, ta pani, ale bardzo miła i sympatyczna. Nas tam gościła, w tym mieszkaniu przy Rondzie Starzyńskiego. Było też mieszkanie, które nieraz odwiedzałem na ulicy Nowogrodzkiej chyba. Tam była piwnica, były też mieszkania używane przy Rondzie Waszyngtona na ulicy Międzynarodowej, gdzie ja też bywałem, na chwilę gdzieś tam wpadałem, ale nawet nie pamiętam tych adresów, bo tam gdzieś się pojawiałem z Teosiem. Ja mogę powiedzieć, że ja właściwie większość współpracowałem z Teosiem, wszystkie moje przedsięwzięcia robiłem z Teosiem. Natomiast Tadeo zajmował się drukiem no i z nim się też spotykałem jednak dość często, właśnie w kontekście druku, bo u mnie była ta drukarnia, chociaż drukarnia była tylko do końca 1985 roku, bo potem ja się ożeniłem i już drukarnię wyrugowałem z mojego domu. Jedynie skrzynka była przeznaczona do celów przechowywania nadajnika radiowego. No, i tu można by przejść do tego nadajnika radiowego.

Artur Kłus: Czy chciałby pan coś jeszcze powiedzieć kontaktach albo po prostu o działalności Piotra Rzewuskiego? Czy pan pamięta?

Michał Mirecki: Szczerze powiedziawszy, najbliższe kontakty z Piotrem miałem w roku 1982, właśnie podczas tej całej afery z Miastowskim. Potem o Piotrze, pseudonim „Nordyk”, być może nawet tak znałem jego nazwisko wtedy, znaczy jego imię, „Nordyka” bardziej znałem, czyli jego pseudonim, niż jego imię, nazwisko. W każdym razie on mi się gdzieś tam przejawiał, bo myśmy się gdzieś spotykali czasami, ale nigdy się z nim już nie umawiałem bezpośrednio na współdziałanie, tylko go spotykałem przy jakichś okazjach. Tak że ja wiedziałem, że on cały czas działa, poza tym wiedziałem też o jego aresztowaniu, że „Nordyk” siedzi, zresztą „Nordyk” siedział w tym czasie chyba ze dwa razy. Tak że dużo tego czasu, o którym mówię, spędził w więzieniu po prostu. Osoby, które były w więzieniu, były często przez pewien czas wyłączane potem albo same się wyłączały po powrocie, ale „Nordyk” się włączał zawsze po jakimś czasie. Ale rzeczywiście nie miałem z nim jakichś bezpośrednich kontaktów. Bezpośrednio. Znaczy miałem świadomość, że on jest w grupach, że gdzieś tam jest, za Teosiem gdzieś stoi, gdzieś tam jest... Teoś to wyglądało, że się codziennie spotyka ze wszystkimi. Teoś miał taki mały kapowniczek, gdzie tam wszystko zapisywał sobie i tam,

tego, małymi literkami, i to wszystko było tak, że on miał spotkań mnóstwo, ja mnóstwo pseudonimów, które poznałem wtedy, bardzo doskonale pamiętam. Na przykład takie pseudonimy właśnie jak „Aleczek” czy „Wariat”, to te osoby, one się przejawiały bardzo często w naszych... czy „Gruby Piotr”. „Grubego Piotra” znałem akurat. Ale „Alecza” to ja raczej nie spotkałem nigdy osobiście. – Mówimy Andrzejowi Nietku? – Mówimy Andrzejowi Nietku, tak. Oraz nie spotkałem... Chociaż „Wariat”, to jest w ogóle wariat. Znaczący bardzo ciężko o nim jest cokolwiek powiedzieć sensownego. Ja go nie znałem wtedy. Natomiast „Wariat” to jest postać bardzo dziwna, ze środowiska „Alecza”, czyli Nietka. Szczerze powiedziawszy, to ja z tym środowiskiem poniekąd miałem kontakty, bo mogę powiedzieć, że Mariusz Zieliński, mam wrażenie, był też trochę z tego środowiska właśnie, od Nietkowego, a z Mariuszem Zielińskim się bardziej kontaktowałem, przez to, że robiłem dla niego te wyrzutniki, i bywałem u niego często w domu na ulicy Grenadierów, przyjeżdżałem do niego z jakimiś szpejami, jak to mówimy, prawda, od wyrzutników, no to najbardziej z tego środowiska znałem Mariusza Zielińskiego, który zmarł na początku lat 90. Natomiast nie znałem tak blisko „Alecza” i nie znałem „Wariata”, ale „Wariat” i „Aleczek” się pojawiali bez przerwy w rozmach między Teosiem a Tadeuszem i ja z kolei kojarzyłem ich z pewnymi konkretnymi działaniami. Czyli ja mogłem używać: „To wrzucicie to do »Alecza«”, coś takiego, bo wiedziałem, że ktoś taki jest i że ktoś taki jest takim pseudonimem określany. Ale mam wrażenie, że ja go nie poznałem nigdy osobiście. A jeżeli chodzi w ogóle o kontakty z RKW Mazowsze i ze Zbigniewem Bujakiem? To było domeną Teosia i on czasami nas informował o tym, że spotkał się z Bujakiem, no i tam przekazywał te wszystkie informacje, które na ogół, powiem szczerze... Ja nie miałem takiego poczucia, że my podlegamy bezpośrednio pod RKW, chociaż przez pewien czas nazywaliśmy się „Grupy Specjalne RKW” albo „Grupy Oporu RKW”, czy „Grupy RKW”. Ja wam powiem, to jest tak, w ogóle „grupy ulotkowe” to jest moim zdaniem nazwa bardzo naturalna dla grup ludzi, którzy zajmują się rozrzucaniem ulotek. Dlatego nazwa „grupy ulotkowe”, nazwy tej nie traktowałbym jako nazwy konkretnego ugrupowania, tylko raczej jako pewną charakterystykę zajmowania się pewnych ludzi czymś. I w związku z tym ta nazwa „grupy ulotkowe” funkcjonowała zawsze, ale ona była na zasadzie, że są właśnie grupy ludzi, którzy rozrzucają ulotki. Natomiast grupy... To są znane historie, opisane już wielokrotnie, dlaczego my nie mogliśmy używać nazwy „grupy oporu”. Bo dla RKW to się wydawało nazbyt groźną nazwą, „grupy oporu”. Co więcej, nie mogliśmy się z tego samego też powodu nazywać „grupy specjalne”, bo to się z jakimiś zagrożeniami dla potencjalnych osób, które wpadną, że są z grupy specjalnej... Ja myślę, że to były grupy specjalne, bo one zajmowały się różnymi bardzo niekonwencjonalnymi działaniami i nie były takimi zwykłymi komisjami zakładowymi, które polegały na kolportażu czy czymś, tylko byśmy nie robili jakichś akcji, które cały czas nas wciągały i kręciły bardzo. Ale podległość pod RKW była teoretyczna, ponieważ tak naprawdę wtedy, kiedy mieliśmy jakieś materiały, na przykład ulotki albo audycje, były często podpisywane przez Bujaka albo były tam nagrania Bujaka na audycjach gadałkowych, natomiast jakiegoś bezpośredniego kierowania przez Bujaka to nie było. Było raczej funkcjonowanie nas jako zaplecza związku zawodowego w podziemiu. Czyli myśmy się traktowali, że nie chcemy wychodzić przed szereg, nie zakładamy jakiejś własnej organizacji nowej, która będzie się nazywała, tam będzie miała swój program, tylko traktowaliśmy się po prostu jako takie ściśle tajne zaplecze, tajnego notabene, kierownictwa Podziemia. No i w związku z tym Bujak nie był traktowany przez nas jako jakiś tam szczególny szef czy jakiś nasz... Spotkania z Bujakiem dla mnie były zawsze, miałem świadomość, że on jest w końcu członkiem TKK, Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, i szefem RKW, że jest niebywale poszukiwaną osobą w podziemiu, ale niestety to przywództwo nie przekładało się tak naprawdę na żadne jakieś konkretne wezwania do jakichś działań. Były to jakieś odezwy, które on pisał, jakieś teksty, ale ja nie... Czyli nie było tam bezpośredniego kontaktu?

Nie było bezpośredniego kontaktu, nie było takiej też emocjonalnej... że to jest przywódca nasz, ukrywający się. Ja nie miałem takiego poczucia. Z mojego punktu widzenia funkcję przywódcy zdecydowanie miał Teoś Klincewicz. Miał ogromne zaufanie wszystkich ludzi do siebie, był osobą niezwykle sympatyczną i taką kontaktową i był całkowicie poświęcony pracy dla Podziemia. Teosia wspominam generalnie bardzo z dużą sympatią. Bardzo też przeżyłem jego śmierć niespodziewaną w marcu 1991 roku. Tak że krótko się nacieszył tą wolnością. Co więcej był, mam wrażenie, troszkę zagubiony po odzyskaniu niepodległości, nazwijmy to, jeśli to nastąpiło, to on był tym troszkę... Mam wrażenie, że wtedy go zobaczyłem innego, że taki jest trochę zostawiony. Bo pracował wtedy w Kurierze Mazowsze... Notabene, może to jest dobry moment, bo to jest... Oczywiście nie mam na to żadnych dowodów, ale muszę to zeznać śmiało przed kamerą, że z całą pewnością jestem twórcą nazwy „Kuriera Mazowsza”. Mówię to dlatego, że Teoś do mnie przyjechał i mówił, że musimy zrobić taką gazetkę ulotkową. I ja... – Jaki jest rok? – 1985. Albo 1986? Ale raczej 1985. Jakoś tak maj 1985, 1986 roku. Ale maj to już za późno by było. Nie, dobrze, jednak 1986 rok. Moim zdaniem pierwszy numer musiał być w 1986 roku. Bo ja dlaczego pamiętam? Bo teraz tak działa pamięć, że przypominam sobie, gdzie ja to robiłem. A robiłem to w moim mieszkaniu na Górczewskiej, a robiłem to wtedy, kiedy już tam nie było drukarni, czyli kiedy tam mieszkaliśmy z moją żoną. I w związku z tym musiał to być rok 1986. I wtedy pierwszy, notabene, tego formatu wydruk, numer jeden tego „Kuriera Mazowsze”, wykonałem na własnej maszynie do pisania jako wzór do sfotografowania. Czyli ja pisałem, zrobiłem całe te dwie strony tej ulotki na maszynie do pisania bez przerw, bo tam szkoda było każdego miejsca, więc nie było odstępów między wierszami. I to było zrobione na maszynie do pisania, i pamiętam, że tę nazwę wymyśliłem, pamiętam, że mi się kojarzyło to... Był taki program i puszczały go za PRL-u, „Kurier Warszawski”. I tam taki był wstępniak do tego, to się pojawiało chyba w każdy jakiś jeden dzień tygodnia, „Telewizyjny Kurier Warszawski”. Zresztą to przeszło, nawet może do tej pory coś takiego jest, ale chyba nie. To przeszło potem... To długo jeszcze było. I tam był taki wstępniak, gdzie biegł taki chłopiec w czapce, tak jakby rozdający gazety... – [niezrozumiałe] – Tak? Jest to coś takiego? „Telewizyjny Kurier Warsza...”, tak? To nawet nie wiem, bo nie oglądałem tego programu. W każdym razie ten „Kurier Mazowsza” to przyszło mi do głowy i wtedy to, powiedziałem: „Słuchaj, nazwijmy to »Kurier Mazowsza«, to będzie świetny pomysł, robimy gazetkę ulotną. Czyli to będzie gazeta rozsypywana, darmowa gazeta. Nie było takiego pojęcia jak... Śmieję się, ale gazeta rozsypywana, czyli żeby to była ulotka w formie gazetki. Czyli będzie miała swój kolejny numer. I to była istota pomysłu na „Kurier Mazowsza”. Przy czym ja uczestniczyłem w dwóch... to się zaczyna zgadzać, bo ja uczestniczyłem tylko w dwóch pierwszych edycjach tego. Stałem się w pewien sposób redaktorem tych pierwszych dwóch właśnie. Ale potem było moje porwanie. Czyli to było w 1986 roku, w maju, albo kwiecień i maj, o, a w czerwcu już się to zmieniło. Czyli już trzeciego numeru nie robiłem „Kuriera Mazowsze”. A dlaczego o tym teraz mówię? Bo właśnie odwiedzałem Teosia w redakcji „Kuriera Mazowsze” w roku 1990 i pamiętam że on był taki właśnie sfrustrowany, że właściwie to nie wie, co on ma dalej właściwie robić, bo nie ma już tak za bardzo... Te wszystkie pola się skończyły no i tak pracuje w tym „Kurierze”, ale to przyszłości w tym nie widział specjalnie. Zresztą spotykałem się też... Do domu przyjeżdżałem do niego i do Doroty Klincewicz, gdzie urodził się mały Teoś, i pamiętam, że moja córka, która się urodziła we wrześniu 1986 roku, czyli była małym dzieckiem, powiedzmy... W 1987 mogłem Teosia... albo w 1988 roku mogłem go odwiedzać też w domu, ale ja mu powiedziałem: „Słuchaj, nie chcę nic wiedzieć o sprawach grup, bo ja jestem wyłączony”. Tak że to było ewidentnie... Ja po prostu powiedziałem: „Nie chcę nic wiedzieć o tym, co robicie. – Nie mogę tego wiedzieć”.

Artur Kłus: Z tych czasów wcześniejszych, sprzed porwania, jak pan wspominał właśnie Kłincewicza?

Michał Mirecki: Jako osobę jednak też lekkomyślną. Jako lekkomyślną. To znaczy na zasadzie: „ale my wariaci jesteśmy”. No po prostu rzeczywiście brak podstawowych zabezpieczeń konspiracyjnych, wszedł nam w krew po prostu. Był taki moment, że nie było wpadek. No teraz też wiemy, że tutaj był parasol ochronny Wydziału VI Departamentu II, bo o tym czytałem, więc wiem, na czym polegały te zabezpieczenia. Nie tylko wiem, że nie było wpadek, tylko teraz, ponieważ zapoznałem się z wieloma aktami, to wiem o tym, że zabezpieczano po prostu nas przed wypadkami. Wszystkie wypadki czy jakiegokolwiek inne organy MSW musiały być konsultowane przez... Że nie można było nikogo z nas zatrzymać bez wiedzy Wydziału VI. Czyli byliśmy całkowicie do dyspozycji tegoż wydziału, czyli po prostu oni... No cóż ja mogę powiedzieć o tym dzisiaj? Że z dzisiejszego punktu widzenia rzeczywiście zatrzymywanie chłopaków rozrzucających ulotki nie miało żadnego sensu, bo wiadomo, że te ulotki i tak będą przez kogoś rozrzucone. Rozbijanie całej struktury nie miało żadnego sensu, bo ta struktura by się odrodziła w jakiejś innej postaci. Natomiast z dzisiejszej wiedzy, trzymanie agenta Tadeusza... czy no Agentą... agenta, bo to się właśnie tak nazywa, agent, w sumie, on był po prostu agentem kontrwywiadu wprowadzonym do struktury podziemnej, było bardzo korzystne, jak się okazuje do dzisiaj. Znaczą, jak to z dzisiejszej perspektywy widać i jak to... Korzyści były takie, że po pierwsze, coraz większy wpływ na... że Tadeusz w pewnym momencie uzyskał wpływ na prowadzenie narracji opozycji. To znaczy jego list z 1987 roku, który jest po moim odejściu z grup... Ja rzeczywiście powiem wam, że motywacje mojego odejścia były po pierwsze takie, że po porwaniu byłem zupełnie wykończony psychicznie, bo te trzy dni bez spania mnie doprowadziły do ciężkiego stanu emocjonalnego, aczkolwiek radziłem sobie z nim, nigdy nie popadałem w jakieś szaleństwo, ale czułem, że po prostu boję się tych ludzi. Poza tym ja ich znałem. Był jeszcze jeden wątek, który mnie przerażał, że bezpieka... że ja znałem z wyglądu, i w zasadzie z imion, poznałem podczas porwania sześć głów bardzo niebezpiecznych mężczyzn, że tak powiem, jeszcze wtedy nie wiedziałem, z jakiego są w wydziale, ale wiedziałem, jak mają imiona, ponieważ oni podczas tych paru dni pili przy mnie tam wódę, nie przy mnie, ale w innym pokoju gdzieś pili i do siebie mówili po imieniu, więc ja notowałem wszystko w głowie. Tak że znałem kilku niebezpiecznych facetów i tak naprawdę do momentu odzyskania niepodległości, tak zwanego, to ja nie czułem się bezpiecznie, bo miałem świadomość, że dużo wiem po prostu, poznałem tych ludzi. Zresztą oni sami podczas pierwszego procesu, który im wytoczyłem w 1991 roku, sami przyznawali, że jeden z nich, mam tutaj, w tych papierach są zeznania, zdaje się, Frontczaka, który mówi, że pomysł ściągnięcia na trzy dni figuranta do ośrodka i przebywanie z nim przez grupę ludzi był totalnym zdekonspirowaniem kontrwywiadu przede mną po prostu, że on tego nie rozumie. A inna sprawa, że też komentowano ulokowanie Kotarskiego, Pękalskiego, w podziemiu na tyle lat, jako też błąd albo rzecz, której się nie robi w kontrwywiadzie. To też skomentowano. – Że za długo? – Za długo. Znaczą korzyści odnieśli się na tym, że on nie został tak naprawdę nigdy zdemaskowany w sposób taki oczywisty, bo wtedy, kiedy były największe powody, żeby go demaskować, to był chroniony przez RKW. I tutaj jest duży problem, że właśnie po moim porwaniu, zdaje się, bo już nie pamiętam, kiedy to były te daty, to się zapomina, co było bezpośrednio... ale wydaje mi się, że po tym moim porwaniu, był wyraźny komunikat w wielu pismach, że Kotarski jest podejrzany o to, że jest współpracownikiem, czyli że jest ubekiem, jak to się mówiło wtedy, natomiast wtedy nastąpił słynny taki list, my się często też do niego odnosimy, że Regionalny Komitet Wykonawczy sprzeciwia się nazywaniu właśnie Tadeusza, bezpodstawnemu określeniu go jako zdrajcy, ponieważ tego typu zarzuty stawiane uczciwym ludziom nie mieszczą się w tradycji europejskiej. Ja

nie wiem, skąd oni już wtedy wiedzieli o tradycji europejskiej, ale zdecydowanie był chroniony bardzo mocno. Przy czym on już wtedy miał tam po prostu kolegów, ponieważ grupy oporu, oprócz tego, że robiły te akcje, zajmowały się też... był dział poligraficzny. Dział poligraficzny drukował „Tygodnik Mazowsze”. Dostawał w pierwszym rzędzie diapozytywy „Tygodnika Mazowsze”. Przyjeżdżały do drukarni, przywożone przez Tadeusza. Czyli jeżeli Tadeusz dostawał bezpośrednio, co tydzień, w regularny sposób, diapozytywy, cztery arkusze na cztery strony „Tygodnika Mazowsze”, w rulonie od... nie wiem, kogo, czy nie od Niemczyckiego... on sam o tym mówił na przesłuchaniu u mnie, no to namierzenie „Tygodnika Mazowsze” no naprawdę niestety było regularne, to nie była żadna sztuka. Znaczący ja po prostu z dzisiejszego punktu widzenia mam ogromne podejrzenia, że poprzez Tadeusza rozpoznawani członkowie grup oporu, którzy byli często szarymi wykonawcami pewnych akcji... tylko rozpracowywane było wyżej, ponad grupami oporu, środowisko, dlatego dostęp Tadeusza do środowisk wydawniczych, jak i dostęp do środowisk politycznych, czyli do RKW, był w 1987 roku już tak duży, że w zasadzie Tadeusz odsunął Teosia od pisania raportu, tylko napisał go sam. A napisał go w wyjątkowo ubecki sposób. Ja go wtedy nie znałem, chociaż on mi podczas przesłuchania imputował ostatnio, że to niby ja mu przyniosłem, on taki potrafi rzeczy klepać, ten Pękalski, że to ja mu podobno przyniosłem kasety, którą nagrałem z radia „Wolna Europa”, gdzie słyszałem jego wypowiedź. To jest totalna bzdura, bo ja się z nim nie skontaktowałem po 1986 roku, nie mając do niego zaufania. I powiem szczerze, z mojego punktu widzenia to wyjaśnienie mojej wpadki i w ogóle wiedzy, którą posiadała bezpieka na temat grup... ja tak sobie myślałem, dobrze by było, gdyby się okazało kiedyś, że ten Kotarski to był po prostu ubek. Okazało się to dopiero w 2012 roku. Dość późno. Ale rzeczywiście ja sam nie mogłem się rozumieć, skąd jest tak głęboka wiedza podczas tego mojego porwania, skąd oni po prostu wiedzą o mnie, tak jakby siedzieli mi tutaj na ramieniu cały czas i wszystko ze mną słuchali. A jeżeli Tadeusza podejrzewaliśmy o cokolwiek, to mogliśmy go podejrzewać najwyżej o to, że ktoś komuś sypnął, albo że podpisał TW i komuś coś powiedział, ale że generalnie jest po naszej stronie, tylko że ktoś go wciągnął w jakąś... że może być niebezpieczny, bo może na przykład... bo mówiło się o jakimś wypadku samochodowym, że on miał, ja dokładnie nie wiem teraz, czy się mówiło o tym, że on kogoś zabił w ogóle, ale to też nie mam... To są rzeczy, które powtarzam, bo wtedy o tym nie wiedziałem, ale jeżeli kogoś on śmiertelnie poturcił i został z tego wyprowadzony, no to rzeczywiście był to powód... jako winny wyprowadzony, to był to powód, żeby mieć do niego poważne wątpliwości.